TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50

DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 38. *Chicago, Ills., 18 Marca, 1886 r.* **Rok II.**

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU.

(Ciąg dalszy.)

Skazany na śmierć więzień podał mu kartkę z adresem, gdzie je miał znaleźć.

— Bądź pewny, że nie zapomnę o mojem przyrzeczeniu.

— Niech Bóg błogosławi pana za ten dowód szlachetności! Dziecię to jest ostatnim węzłem, co mnie ze światem łączy.

Henryk opuścił kaźnię skazańca i powrócił do swego mieszkania.

Najpierwszą czynnością jego było zamknąć się w swoim pokoju dla odczytania listów, które mu wręczył ajent Miran-Hafaza. Ani okrzyk, ani jęk nawet nie wydobył się z piersi jego w czasie tego czytania; uzbroił się w całą odwagę, do jakiej był zdolnym, aby dowiedzieć się o tych okropnych wydarzeniach, które zaszły od czasu jego wyjazdu z Anglii.

Bladość nadzwyczajna, okrywająca jego rysy i kurczowe drganie ust, gdy doszedł do szczegółów skrytobójstwa swego zacnego dobroczyń-

cy, były jedynemi oznakami bólu, oburzenia i grozy, jakie napełniły jego duszę. Ta pozorna spokojność straszną się wydawała, jak cisza złowroga, poprzedzająca uderzenie piorunu, lub wybuch uśpionych długo płomieni w wnętrznościach wulkanu.

— I mnie tam nie było pod ten czas! — mruknął, zaciskając zęby.

Do żałości z powodu zgonu sir Williama łączyła się jeszcze myśl, że Ellena zostaje bez opieki, narażona na wszystkie podejścia i intrygi jego współzalotnika, którego instynktowo za twórcę tego zamachu uważał. Cóżby się z nim działo, gdyby się był dowiedział, jakich okropnych prześladowań, jakiej haniebnej zdrady, ze strony pułkownika i Indyanina, jego biedna narzeczona była ofiarą! Mógłby był oszaleć z rozpaczy.

Listy Elleny nie zawierały ani słowa powątpiewania lub wyrzutu. Myślała, że Henryk zachorował lub umarł, lękała się, że może jaki spisek przeciw niemu uknuto, nie przypuszczając wcale ani niestałości, ani zapomnienia z jego strony.

— Elleno! moja najdroższa Elleno! — zawołał, całując z uniesieniem jej podpis, — wyrwię cię z matni tego szatana, który usiłuje zniweczyć szczęście nasze! Nędznik! O czemuż nie mogę przebyć w jednej chwili tej przestrzeni, która nas dzieli? Nigdy dotychczas nie znałem co to nienawiść, teraz czuję, że przy najbliższem spotkaniu naszem, bój będzie śmiertelny!

Rzadko kiedy się wydarzy, aby tak młody człowiek w podobnie zawiłem znajdował się położeniu. Przed niewielu godzinami, życie wydawało mu się pełne błogich nadziei, nagle, wszystko posępnemi okryło się chmurami. Sir William Mowbray i syn jego (nie wątpił bowiem, że Walter był tem dzieckiem straconem), zostali niegodziwie zamordowani. Cóż się stanie z lady Mowbray, jakże jej te ponure, żałobne wieści oznajmić? jak zniweczyć nadzieję, którą pieścić zaczynała, że połączy się znowu z kochankiem swych lat młodocianych, i z synem, którego tak gorąco pragnęła do serca przycisnąć? Cios ten tem był dotkliwszy, że ją ugodził w chwili, kiedy przyszłość szczęśliwsza zdawała się jej uśmiechać. Nie mogąc znaleźć odwagi, aby jej ustnie oznajmić te smutne wypadki, napisał do niej list, który dopiero po jego odjeździe z Rzymu miał jej być wręczony, a w nim donosił, że skrytobójstwo, którego padł ofiarą przyjaciel jego, było powodem niezwłocznego powrotu do Anglii, gdzie nie omieszka przygotować wszystko na jej przybycie.

Nazajutrz o świcie Henryk Ashton opuścił wieczne miasto. Czwórka dzielnych rumaków szybko pędziła wzdłuż Via Appia. Postanowił jechać nieustannie dniem i nocą, i nie wypocząć ani chwili, póki nie stanie na rodzinnej ziemi.

XII.

Przyszedłszy do siebie z omdlenia, w jakie popadła w skutek przerażenia i wzruszeń, doznanych w czasie ucieczki, Ellena ujrzała się na łóżku, w komnacie skromnie, lecz wygodnie urządzonej, a przy niej znajdowała się obok łóżka siedząca niewiasta, której oblicze i całe ułożenie miało coś ujmującego i wzbudzającego zaufanie.

— Gdzie jestem? — zapytała, rzucając dokoła wzrok przestraszony, jakby się lękała ujrzeć swych nieubłaganych prześladowców.

— Jesteś w zupełnem bezpieczeństwie, miła panienko, — odrzekła staruszka, — znajdujesz się pod opieką mojego pana.

Ostatnie wyrazy starej kobiety nie uspokoiły sieroty; w swem przerażeniu lękała się już, że Miran lub pułkownik jest owym panem, w którego mocy się znajduje.

— Jak się wasz pan nazywa?

— Nie wiem; ale niech to panienki nie zastrasza; on jest dobry, chociaż jego postępowanie dziwnem się wydać może; bardzo był niespokojnym o ciebie, miłe dziecię!

— Ja go chcę widzieć, chcę z ust jego usłyszeć, czego się mam obawiać lub spodziewać od niego; niepewność zabija mnie! — dodała z wybuchem spazmatycznego łkania.

Nim jeszcze staruszka zdołała odpowiedzieć, zapukano lekko do drzwi.

— To mój pan, — rzekła, — nie lękaj się niczego, znajdziesz w nim dobroć i troskliwą przychylność ojca.

Nie czekając odpowiedzi młodej panienki, kobieta znikła za drzwiami, i niebawem wróciła w towarzystwie mężczyzny, mogącego mieć pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt lat, słusznego wzrostu, oblicza poważnego, lecz życzliwego zarazem. Pomimo obawy, Ellena uczuła jakieś uszanowanie na widok tej wspaniałej postaci; broda długa,

czarna, gdzie niegdzie szronem starości poprószona, spadała mu aż na piersi.

Był to Khan. Podobnie jak pan Elworthy, czatował i on w pobliżu Cromwell-House na skutek wyprawy; szczęśliwy traf sprowadził go w porę, że mógł ocalić młodą sierotę.

— Kogoż mam błogosławić czy obawiać się? — zapytała Ellena, spoglądając na wchodzącego błagalnym wzrokiem.

— Widzisz we mnie przyjaciela; — odpowiedział renegat łagodnym głosem, — dowiodłem mych życzliwych chęci, zrywając węzły, co mnie łączyły z twym prześladowcą. Nie lękaj się niczego, — dodał biorąc ją za rękę i czule ściskając w swych dłoniach, — jesteś teraz bezpieczną. Nie opuściłbym najlichszego tworu Bozkiego, któryby szukał schronienia pod moim dachem, a tem więcej czuję się obowiązanym bronić niewiasty, dziecię Boże, które każdy mężczyzna powinien osłaniać swoją opieką.

— Pan więc jesteś bez wątpienia tym przyjacielem zacnym i nieznanym, o którym wspomniał mi lekarz?

Khan uśmiechnął się dobrotliwie zamiast odpowiedzi.

Miss Vere wypytywała go następnie o Zuzannę i Joego, którzy dla jej ocalenia narażali się na tyle przygód. Tajemniczy jej obrońca odpowiedział, że domyśla się, iż są już w bezpiecznem miejscu.

— Jutro rano pójdę się o nich dowiedzieć; bez wątpienia znajdę ich w Londynie, gdzie pan Elworthy udzieli mi wieści o nich.

Nazwisko pełnomocnika sir Williama było dla Elleny nowym dowodem szczerości nieznajomego jej wybawcy, i kiedy wyszedł, zdawało się jej, że pożegnała prawdziwego przyjaciela.

— Już słyszałam kiedyś głos ten, — mówiła, zostawszy sama — przypomina mi się jak sen dziecinny, lub piosenka dawno zapomniana. Gdzie przecież mogłam go słyszeć? Czy w Indyi?... Tak jest, istotnie, musiało to być w mym rodzinnym kraju...

Wkrótce usnęła, a miłe marzenie senne przesuwały się przed jej oczami.

Nazajutrz Joe i Zuzanna znajdowali się w gabinecie pana Elworthy, ubolewając nad niepomyślną wyprawą dnia poprzedniego, gdy wszedł jakiś jegomość otulony płaszczem, od nikogo z obecnych w pierwszej chwili nie poznany,

— Czy pan byłeś wczoraj wieczorem w Mortlake? zapytał notaryusza.

— Istotnie, jeździłem tam, — odpowiedział Elworthy.

— A te osoby znajdowały się tam z panem?

Tak jest.

— On wie o wszystkiem! — zawołał Joe radosnie, bo przybycie tego człowieka nadzieję w nim budzić zaczynało. — Najlepiej zrobisz, panie prawniku, gdy mu wszystko opowiesz.

— Pan przedsięwziąłeś, — mówił dalej przybyły, — oswobodzić miss. de Vere z pod opieki jej wuja, jedynego jej prawnego opiekuna? Wiesz pan jakie następstwa, z takiego kroku wyniknąć mogą?

— Pułkownik Mowbray nadużył haniebnie swych praw, i dla tego nie mam sobie nic do wyrzucenia, — odrzekł prawnik.

— Być może. Znam cierpienie niebezpieczeństwa, na jakie wystawioną była miss Vere i jak uszła przed nimi.

— Więc oswobodzona! — zawołał Joe, chwytając rękę Khana, on to był bowiem; — mówisz pan, że już uwolniona? Powtórz pan to zapewnienie, a na klęczkach dziękować ci będę!

— Uszła od swych prześladowców i zupełnie już jest bezpieczną, — powtórzył renegat.

Radość Joego tak była głośna i hałaśliwa, że upłynęło kilka minut, nim znowu można było rozpocząć rozmowę. W swem uniesieniu ściskał Zuzannę, ocierał jej łzy, pytając dla czego płacze, i oświadczał, że teraz bez zawstydzenia może stanąć przed master Henrykiem.

Zadowolenie młodego człowieka tak było niezmierzone, że byłby uściskał prawnika i posłannika tej wieści pomyślnej.

— Otóż to zdarzenie prawdziwie szczęśliwe! — zawołał notaryusz, — od czasu, jak się poświęcam zawodowi prawniczemu, nigdy jeszcze nie obchodziła mnie sprawa do tego stopnia, jak obecna. Mogęż pana zapytać, gdzie się schroniła siostrzenica mego zmarłego klienta?

— Zapewne, że możesz pan to uczynić. — przerwał Joe. — On jest zbyt dobrym, aby chciał od niej oddalać życzliwych jej przyjaciół... Ja wiedziałem, żeś pan przychylny master Henrykowi. Od owej nocy, kiedy się odprawiał pogrzeb sir Williama, pamiętam zawsze, coś mi pan powiedział, kiedy...

Te ostatnie wyrazy zwrócone były do Khana, który widocznie nie życzył sobie, aby to, co powiedział Joemu, powtórzone było notaryuszowi. Może się lękał, aby przenikliwy adwokat nie czynił ztąd jakich wniosków, i nie zadał mu pytań, na które jego dawna przyjaźń ku Indyaninowi, a może jeszcze inne zobowiązania, nie pozwoliłyby mu odpowiedzieć otwarcie. Dla tego przerwał Joemu, i rzekł:

Właśnie też dla doniesienia wam o niej, przyszedłem tutaj; zdrowie tej młodej osoby bardzo silnego doznało wstrząśnienia, a obecność jej przyjaciół skuteczniejszą będzie dla jej uspokojenia, niż wszystkie leki.

Myśl ujrzenia przedmiotu miłości swego młodego pana i przyjaciela Henryka Ashton, któremu obiecał czuwać nad narzeczoną, odwróciła zupełnie uwagę Joego od tego, co zaczął był opowiadać, gdy mu Khan przeszkodził. Ale prawnik zapisał sobie w pamięci wyrazy młodego wieśniaka, obiecując sobie, że przy sposobności dowie się ich znaczenia.

Ułożono następnie, że Zuzanna i Joe bezzwłocznie opuszczą mieszkanie pana Elworthy, w dzielnicy Temple, i udadzą się wodą do mostu londynskiego, aby tym sposobem łatwiej uniknąć jakiego ścigania. Ztamtąd najętym powozem mieli się udać do domu Khana.

Kiedy Ellena obudziła się ze snu pokrzepiającego, co tak jej był pożądany po tylu cierpieniach i troskach, pierwszą osobą, która się przedstawiła jej oczu, była Zuzanna, siedząca przy jej łóżku, i uśmiechająca się z po za łez. Z razu mniemała sierota, że to dalszy ciąg snu miłego, ale łzy, któremi Zuzia skrapiała jej ręce, okrywając je pocałunkami, przekonały ją o rzeczywistości tego szczęśliwego połączenia.

— Więc i ty wolną jesteś! — szepnęła z radością, — ale gdzież twój narzeczony, wierny i jedyny przyjaciel mego drogiego Henryka? Czy także już bezpieczny?

Zuzia potwierdziła jej pytanie, a biedny Joe, który słuchał pode drzwiami, dla zapewnienia się, czy istotnie miss de Vere tam się znajduje, oddalił się spiesznie.

— Ona mnie nazwała przyjacielem Henryka! — rzekł ocierając łzę, której się wstydził, jako niegodnej mężczyzny; — niechby tylko Miran albo pułkownik próbowali ją prześladować lub ją rozłączyć z jej kochanym narzeczonym, zabiłbym ich jak dzikie koty, choćby mnie za to natychmiast powieść miano!

To mówiąc, wszedł do salonu na dole, gdzie Khan i pan Elworthy rozmową byli zajęci.

XIII.

Jeżeli natura odmówiła Rudemu Ralfowi daru wyobraźni, jak zwykł utrzymywać Amble, nauczyciel szkółki w Mortlake, obdarzyła go natomiast dobrą porcyą przebiegłości.

Mały człowieczek poczekał roztropnie parę dni, nim znowu odważył pokazać się na widowni swych ostatnich czynów waleczności. Lękał się być poznanym, czuł bowiem, że wypadki, których był świadkiem, nie małej były doniosłości, i że nie byłoby dlań korzystnie dostać się w ręce tym ludziom, których zamiary zniweczyć dopomagał.

Dla większej przezorności, postanowił zwiedzić najprzód oficyny, dokąd wszedł za pomocą jednej z takich tajemniczych kryjówek, które tylko jemu wiadome były. Tam zaczajony na strychu po nad izbą stangreta, rozglądał się po dziedzińcu i zauważał z wielkiem zadowoleniem, że z pomiędzy wszystkich kominów, jeden tylko wydawał obłok dymu z wnętrza swego.

— Państwa nie ma w domu! — mruknął skrzywiwszy się szkaradnie, co u niego miało uśmiech zastępować, — jednego tylko człowieka zostawić musieli dla pilnowania domu.

Tem odkryciem ośmielony, ukradkiem wśliznął się do mieszkania, dokąd zwyczajem swoim dostał się okienkiem w dachu otwartem, które znajdowało się tuż po nad izbami, zajętem niedawno przez służbę Miran-Hafaza i pułkownika. Wszystko w tych izbach było w największym nieładzie, dowodzącym wyjazd nagły i spieszny: sprzęty porozstawiane, różne rzeczy rozrzucone w nieporządku i zupełnem niedbalstwie.

Z izby czeladnej wszedł do głównych komnat mieszkalnych. Wszędzie ognie na kominkach wygasły. W salonie ujrzał kilka listów.

— Wyjechali, wszyscy wyjechali! — powtarzał z radością dziecinną, — będziemy sobie teraz dotrzymywać towarzystwa: stary dom i ja.

Tak był przekonany, że całe zamczysko opuszczone od wszystkich mieszkańców, że zszedł śmiało po szerokich wschodach do dolnych apartamentów. Zapomniał już całkiem o tym jednym dymiącym kominie od kuchni, i zaczął nawet gwizdać, jakby się sam znajdował u sie-

bie. Ta nieostrożność omało go życia nie pozbawiła, zwróciwszy uwagę Willa Sideler, którego na straży domostwa zostawiono.

Zbójca ten zaledwo usłyszał hałas, powstał ze stołka na którym w kuchni siedział, i porywając wielki nóż, wysunął się cicho przez korytarz, aż do wielkiej sali, przyległej do jadalnej komnaty. To zabrało mu trochę czasu; niezupełnie bowiem jeszcze się wyleczył ze skutków srogiej kary, jaką mu był wymierzył własnoręcznie Miran-Hafaz. Uśmiech dzikiej, złowrogiej radości wykrzywił usta jego, kiedy zaglądnąwszy do ostatniej izby, zobaczył małego pastucha, siedzącego przy stole i zajadającego resztki pozostałe z jego własnego śniadania.

Postanawiając na ten raz nie minąć swej zdobyczy, zdjął obuwie, ażeby odgłos kroków nie uprzedził chłopca, który plecami do niego obrócony siedział.

Na szczęście dla malca, naprzeciw niego znajdowało się wielkie zwierciadło, w którem nie tylko jego drobna postać się odbijała, ale i wchód do sali jadalnej i część korytarza do niej prowadzącego. Niósł właśnie do swych ust szerokie udko z kurczęcia, gdy nagle zatrzymała się ręka nieruchomie w połowie drogi; z największem przerażeniem ujrzał wyraźnie w zwierciadle królikarza nożem uzbrojonego, który na palcach przysuwał się z tyłu do niego.

W tej krytycznej chwili instynkt zachowawczy przydał mu się korzystniej, niż bujna wyobraźnia. Szybko zsunął się z krzesła na ziemię i zniknął pod długim stołem, a gdy się podniósł po drugiej stronie, miał już zaporę pomiędzy sobą a swym napastnikiem.

Sideler ukrył w rękawie broń, którą trzymał w ręku.

Skoro ujrzał malec tamę, dzielącą go od nieprzyjaciela, odzyskał odwagę; pewien był, że w walce o zwinność, stary nie mógł mu dorównać. Największem niebezpieczeństwem było dostać się w ręce zawziętego łotra.

Kiedy więc zbójca rzucił się ku chłopczynie, ten zręcznie uchylił się z pod jego ręki, wyskoczył na stół, i pobiegł otwartemi drzwiami do salonu. Na nieszczęście, drzwi szklanne, wychodzące na łąkę ogrodową, były zamknięte. Pastuszek próbował zatem, z wielką przytomnością umysłu, wymknąć się głównemi schodami, któremi wprzód przybył, ale przezorny królikarz idąc z kuchni, zamknął był te drzwi na klucz.

— Nie ucieekniesz teraz! — zawołał zbójca, zbliżając się tuż za nim. — Schwytałem w łapkę niejedną zwierzynę podobną, za dawnych czasów, nie dam ci się w pole wywieść; najlepiej uczynisz, jak się poddasz od razu; wszakże ja nic złego nie myślę ci zrobić!

Ale inne było mniemanie Ralfa; to ostatnie zapewnienie nie dosyć go zaspokoiło. Biedak wiedział, że nie ma innego sposobu ucieczki, jak przez kuchnię. Jeżeli się tam nie dostanie, to przepadł z pewnością. W tem przypomniał sobie klapkę w podłodze korytarza.

— Jeszcześ mnie nie pochwycił! — rzekł tonem zuchwałym. — Nieraz ludzie idą strzydz owce, a sami ostrzyżeni wracają, jak to mój dawny gospodarz miał zwyczaj mawiać.

Wybiegł na korytarz i miał czas otworzyć łapkę, nim Will do drzwi przybył. Ponieważ okiennice salonu zamknięte były, ciemność panowała zupełna, tak, że zbójca nie widział przepaści, ale szedł naprzód miotając przekleństwa i groźby straszliwe. Gdyby był mógł w tej chwili dostać chłopca w ręce swoje, nieborak odebrałby za swoje, bo Will rozdrażniony uporem, stawał się srogim i nieubłaganym jak wszyscy nikczemni.

— Wszystkie te bieganiny na nic ci się nie przydadzą! — wołał, — drzwi dobrze pozamykane, a klucze...

Tu zmienił się głos mówiącego, nagle dał się słyszeć łoskot spadającego ciężkiego ciała, potem jęk parę razy powtórzony, nareszcie zupełna cisza.

Ralf zatrzymał się w tej chwili, następnie zaczął tańcować i śmiać się z ukontentowania. Trudno było rozstrzygnąć, co go mocniej cieszyło, czy figiel spłatany swojemu prześladowcy, czy uniknięcie jego szponów.

— Złapany! — krzyczał radośnie, — złapałem przecie!

Powrócił znowu na korytarz, zbliżył się po omacku aż do brzegu otworu z największą ostrożnością, i spuścił drzwiczki czyli wieko tej kryjówki. Zbójca pozostał sam w ciemności ze swojemi bólami i myślami.

Radość małego swawolnika podobną była do położenia człowieka, który złapał tygrysa, a potem nie wiedział, co z nim zrobić.

W swoim kłopocie postanowił pójść do Londynu i zobaczyć się z Joem, który mu dał adres pana Elworthy. Nie zastał tam Beansa,

ale notaryusza, i tak był zachwycony swoim zwycięztwem, że kiedy prawnik także zadowolony wiadomością o schwytaniu tego niebezpiecznego ptaszka, wetknął dziecku parę gwinei w rękę, chłopak zaczął skakać po pokoju, jak niedźwiedź, odzyskając niespodziewaną swobodę.

XIV.

Gdy Ralf przymknął klapę swojej łapki, jak nazywał wchód do podziemnego sklepienia, gdzie tak zręcznie schwytał królikarza, ten znalazł się pogrążony w zupełnej ciemności. Miał nogę złamaną. Boleść, noc czarna i zgryzoty sumienia wprawiły go w rozpacz, która do szaleństwa dochodziła, kiedy uczuł się otoczonym obrzydliwemi gadami.

Zostawmy go w nieokreślonem przerażeniu, jakiem go napełniała myśl, że może żywcem zostać rozszarpany. W kancelaryi pana Elworthy znajdujemy Ralfa i Joego.

— Więc jesteś pewien, mój mały chłopaku, — rzekł do Ralfa pan Elworthy, masz przekonanie, że ostatni lokatorowie Cromwell-House opuścili to mieszkanie, i że nikt nie został tam prócz królikarza?

Rudy malec kiwał głową na znak potwierdzenia, śmiejąc się radośnie.

W tem wezwano prawnika z powodu jakiejś sprawy niecierpiącej zwłoki, i szedł zostawiając razem obu znajomych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

ZŁOTY KOŁOWROTEK.

Pewna uboga wdowa miała dwie córki, bliźnięta. Z zewnętrznych rysów tak były do siebie podobne, że ich nie można było rozróżnić. Tem bardziej za to różniły się charakterem. Dobrota była posłuszną, pracowitą, miłą i rozumną, jednem słowem, dziewczyną wyborną; Złoboga zaś złą, mściwą, nieposłuszną, leniwą, wyniosłą i w ogóle pełną niecnoty. Matka jednak Złobogę bardziej kochała i ułatwiała jej wszystko, o ile tylko mogła.

Mieszkały w małej chatce w lesie, dokąd rzadko kto zabłądził, chociaż to niedaleko było od miasta.

Aby Złobogę czego nauczyć, dała ją matka do miasta w służbę, gdzie jej się dosyć dobrze powodziło; Dobrota zaś musiała tymczasem prowadzić gospodarstwo. Napasłszy z rana kozę, ugotowawszy skromnej strawy, zamiótłszy izbę i kuchnią i zrobiwszy w nich porządek, zasiadała, jeśli się pilniejsza robota nie znalazła, do kołowrotka i przędła. Cienką jej przędzę sprzedawała matka w mieście, i nieraz za pieniądze wzięte za przędzę kupiła sukienkę dla Złobogi; biedna Dobrota zaś ani odrobinki zysku z swej pracy nie miała. Mimo to kochała ona swą matkę, a chociaż nigdy życzliwości na jej twarzy nie widziała i dobrego słowa od niej nie usłyszała, była jej jednak chętnie i bez szemrania posłuszną, a myślą nawet jej się nie sprzeciwiała.

Pewnego razu wychodziła matka do miasta.

— A nie bądźże leniwą podczas mej niebytności! rzekła w drodze do Dobroty, która jej kawał drogi tłomoczek z przędzą nieść pomogła.

— Toć wiecie, matuleńko, że się nie dam do pracy napędzać, a zatem i dziś, gdy uprzą-

tnę, pilnie prząść będę, abyście byli zemnie zadowolnieni.

Oddawszy matce tłómoczek, wróciła do chaty, a gdy w izbie i kuchni wszystko uporządkowała, usiadła do kołowrotka. Miała zwyczaj, będąc sama w domu, przy kołowrotku śpiewać; dla tego i tą razą skoro usiadła, wszystkie piosenki jakie tylko umiała, jedną po drugiej czystym głosem odśpiewywać poczęła. Wtem słyszy na dworze tętent konia i myśli sobie:

— Któż też do nas mógł zabłądzić? Muszę jeno zobaczyć!

Zarazem wstaje od kołowrotka, i wypatrując małem okienkiem, widzi młodziana zsiadającego z dzielnego rumaka.

— To piękny pan! — szepnęła sobie, stojąc wciąż przy oknie. Jakże mu też ślicznie w tem futerku i w tej czapce z białem piórem przy czarnych kędziorach! Oto uwięzuje konia i idzie do nas. Muszę zobaczyć, czego chce.

W tym momencie wszedł ów młodzian otwartemi drzwiami; wtenczas bowiem nie znano jeszcze zapór i zamków, a jednak nikomu nic nie ginęło.

— Bądź pozdrowiona, dziewczyno; rzekł do Dobroty.

— Witam was, panie! — odrzekła. Czegóż sobie życzycie?

— Trochę wody do picia, bom bardzo spragniony.

— Zaraz wam służę. Usiądźcie tymczasem!

To rzekłszy pobiegła, wzięła dzban i wypłókawszy go czysto, nabrała ze studni wody i przyniosła ją młodzieńcowi.

— Chętniebym wam czem lepszem usłużyła, lecz nie mam nic innego.

— Patrz, jak mi smakowało! — odrzekł pan, oddając próżny dzbanek.

Dobrota postawiła go na swe miejsce, nie uważając, że tymczasem pan pokryjomu włożył jej pod poduszkę worek złotem napełniony.

— Dziękuję za ochłodę, a jeśli pozwolisz, jutro znowu przybędę.

— Jeśli wam to przyjemność sprawi, przybądźcie!

Potem podał Dobrocie rękę, wyszedł i wskoczywszy na konia odjechał.

Dobrota znowu usiadła do swego kołowrotka, lecz obraz młodzieńca wciąż jej stał przed oczami. Jeszcze jej nigdy nitka tak często się nie rwała, jak tą razą.

Wieczorem powróciła matka do domu i opowiadała, czego się to Złoboga już nauczyła i tak z dniem każdym piękniejszą się staje. Nakoniec zapytała się:

— Czy nic nie słyszałaś? Miało tu być wielkie polowanie.

— Ach prawda! zapomniałam wam powiedzieć, że pan jakiś do nas przyjechał. Prosił mnie o trochę wody, której mu też zaraz przyniosłam; na sobie miał piękne futro. Wiecie, gdyśmy w mieście były, tośmy też panów w takich futrach i w czapkach z białemi piórami na głowie widziały. Przez ramię łuk zawieszony. Zapewne to był jeden ze strzelców. Napiwszy się, wsiadł na karego konia i odjechał.

To jednak zataiła Dobrota, że ją przy pożegnaniu za rękę ścisnął i obiecał jutro powrócić.

Na wieczór gdy Dobrota łóżko rozbierała, wypadł ciężki worek z pieniędzmi. Zdziwiona podniosła go i podała matce.

— Kto ci dał te pieniądze?

— Mnie — nikt! Może pan ów je tu włożył; inaczej nie wiem, zkądby się tu wzięły.

Matka wysypała worek na stół. Było w nim samo złoto.

— Na miłość Boga, tyle pieniędzy! — dziwiła się stara. To musi być bogaty pan. Może spostrzegł u nas ubóztwo i miłosierny uczynek spełnił. Niech mu Bóg za to błogosławi!

Potem matka zgarnęła pieniądze i schowała do skrzyni.

Gdy inną razą Dobrota kładła się na spoczynek, zwykle dzienną pracą strudzona, zaraz zasypiała, dzisiaj zaś na żaden sposób usnąć nie mogła, bo wciąż jej obraz jeźdźca stał przed oczami i dopiero późno w noc zasnęła. Wtedy śniło jej się, że się znajduje w wielkim zamku, i że jest żoną wielkiego pana, a pan ten wielki to ów jeździec, którego wczoraj widziała. Dano wielką ucztę, na której wiele było gości; w tem wpada nagle kot czarny na nią i zatapia swe pazury głęboko w jej sercu, tak że strumień krwi białą jej suknię zbroczył. Dobrota krzyknęła i obudziła się. — To dziwny sen! — rzekła do siebie. Jak się też to skończy? Tak pięknie się zaczął, lecz okrutny kot wszystko popsuł. To nie wróży nic dobrego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DZIECI WDOWY.

POWIEŚĆ MORALNA.

— DLA —

DOJRZAŁEJ MŁODZIEŻY.

(Ciąg dalszy.)

— Kochany Wernerze! rzekł Edward ściskając rękę staremu, i poprowadził go do otwartego okna, spojrzyj tylko w tę uroczą świeżość wiosny, wszystko się rozwija i wszystko nowego nabiera życia. Z gór spada strumyk i szemrze coś ustawicznie, i tak wszędzie działa silne ramię Stworzyciela wszechświata. Ptaka przeszywającego powietrze, zwierzynę w górach i pasące się bydło w Alpach ożywiają promienie wiosennego słońca, ja tylko sam jeden jestem pozbawiony tej rozkoszy. Mnie tylko otacza wilgotne powietrze więzienia, natura cała z grobu powstaje, a ja mam umrzeć.

W tem usłyszał kroki zbliżające się do jego więzienia. Drżącemi rękami pokrył Werner twarz swoją. Edward się przelękł, i nie omyliło go straszne przeczucie, bo w tej chwili drzwi się otworzyły, w nich ukazał się sędzia w towarzystwie kilku jeszcze urzędników, otworzył zwinięty papier i przeczytał zimno i bez wstępu zapadły na niego wyrok: że za popełnione zabójstwo na publicznym gościńcu w przeciągu trzech dni kara śmierci mieczem wymierzoną na nim będzie. Po przeczytaniu wyroku pękła laska i padła złamana pod nogi niewinnie osądzonego Edwarda.

— Czy masz pan jeszcze co do załatwienia? zapytał sędzia śmiertelnie bladego Edwarda.

— Proszę tylko o papier, pióro i atrament, abym mógł do chorej mej matki kilka słów pociechy napisać, i życzyłbym sobie także, bym mógł przed moim zgonem choć raz jeszcze z siostrą pomówić.

— Zezwalamy na to, zawołał wzruszony sędzia, czysty bowiem wzrok cierpiącego młodzieńca zachwiał jego mniemanie, i z widocznem współczuciem opuścił po skończonym smutnym obowiązku wraz z innymi urzędnikami więzienie Edwarda.

Blady jak trup siedział Edward na stołku; z piersią pełną goryczy stał Werner opodal w kącie, wachał się zagadnąć go, który głośną skargą przerwał nareszcie ponure milczenie.

— O droga matko! zawołał z boleścią, w obawie o siebie samego zapomniałem o niej; zapewne jej wszystko zabrali, i schorzała musi na twardej spoczywać słomie!

— Nic jej nie wzięto kochany panie!

— A więc to z pewnością nastąpi, znam ja dobrze młynarza.

— To nie nastąpi, zawołał Werner ściskając mu rękę, młynarz już zaspokojony.

— Zaspokojony, zawołał zdziwiony Edward któż go zaspokoił?

— Ja, kochany panie, rzekł Werner z zadowolnieniem. Na to rzucił się Edward w jego objęcia, poczciwe dwa serca spotkały się z sobą i nie mówiąc ani słowa konwulsyjnie się w objęciach trzymali.

— O Wernerze! ozwał się Edward, teraz łatwiej mi będzie umierać, mając zapewnienie, że podły chciwiec nie ma więcej od nas do żądania. Marya będzie i nadal wspierała matkę,

a po śmierci mojej znajdą się może miłosierni ludzie, którzy się zlitują nad nieszczęśliwem położeniem matki i siostry niewinnie straconego młodzieńca.

— Bądź pan o tem przekonany, że ile tylko siły i stosunki moje na to pozwolą, wszystko z pewnością dla nich uczynię, rzekł rozczulony do łez Werner. Nie mam żony, ani dziecka, uważam za świętą powinność zająć się losem żony tego, który mnie od niechybnej ocalił śmierci. Pod tym względem spokojnie możesz umierać kochany panie, com ci tu przyrzekł, święcie dotrzymam.

Raz się jeszcze serdecznie uścisnęli, a potem się Werner oddalił; było mu bowiem za duszno między czterema ścianami więzienia. Po chwili wrócił z papierem i atramentem, postawił wszystko na stole i spiesznie znowu się oddalił. Edward wziął po krótkim namyśle pióro do ręki i napisał, co następuje do swej siostry:

Kochana siostro!

Z woli Wszechmocnego mam się wkrótce z wami rozłączyć. Nim się jednak ztąd do wieczności przeniosę, życzę sobie raz jeszcze z Tobą pomówić. Kiedy atoli wspomnę, żebyś musiała matkę bez pomocy zostawić, wtenczas i tej ostatniej mej woli się wyrzekam. Po trzech dniach nie będzie mnie już pomiędzy żyjącymi. Powiedz, proszę Cię, matce, że umieram niewinnie, bo tak prawda, jak wzywam pomocy Boga w ostatniej godzinie mego istnienia, przysięgam Ci, że mnie niewinnie osądzono. Pozdrów i uściskaj matkę serdecznie, i powiedz jej że ją z żalem przepraszam za niejedną przykrość, jaką jej przez moją popędliwość sprawiłem; umiesz pracować, więc pielęgnuj ją, a Wernerowi możesz na pewne zaufać. Jesteś gładką dziewczyną, strzeż się podłych zwodzicieli twej niewinności, proś Boga, aby strzegł Cię przed zdradą. Wierzaj mi Maryo, że gdzie mieszka ubóztwo, tam bogacz żadnego nie spodziewa się oporu, sądząc w swej nikczemności, że złoto wszystko przemaga. Strzeż się takich nędznych bogaczy, tacy ludzie nie są panami samych siebie i uwodzą oklepanemi i nieobyczajnemi grzecznościami niejedną niedoświadczoną dziewczynę, która wierzy słodkim podchlebstwom, a potem znieważona, z pieszczącego ją snu nagle się przebudza. Oddalaj od siebie takich wielbicieli: rozsiewają oni trujące nasienie na młodą roślinę, tak iż świeży jeszcze niedawno kwiatek, zwiędniony opadać poczyna. Nieraz się gorąco modliłem z całej duszy, błagając niebios o pomoc dla Ciebie, abyś nie wpadła w chytre i powabnie zostawione sieci zwodniczych zamiarów.

Proś i ty Boga za mną, aby mi udzielił sił do trudnego ostatniego kroku, który zakończy ziemskie moje cierpienia. Lubo niewinnie umieram, dreszcz mnie przecież nieraz przechodzi na samo wspomnienie krwawego igrzyska. Nie ubolewajcie nademną; owszem szczęśliwym nazwać tego można, kto bez ciężkiej winy świat ten opuszcza. Gdybym mógł umierać za wiarę lub ojczyznę, chętniebym krew moją wytoczył, ale, że mam umierać jako zabójca przeklęty może od niejednego, to jedynie śmierć mi uciąża.

Bądźcie więc zdrowi! w lepszym świecie znowu się zobaczymy. Od Wernera otrzymasz na pamiątkę zwitek włosów z mej głowy — niech Ci przypominają twego Edwarda, który umarł niewinnie. Bądź zdrową, módl się za mnie, — pielęgnuj matkę, — gdyż ja dla niej nic już uczynić nie mogę.

Osłupiony upadł na stołek, wielokrotnie przyciskał list do ust spragnionych, i rosił go łzami gorącemi.

— Ksiądz proboszcz zaraz tu przyjdzie, zawołał wchodzący Werner.

— Życzyłbym sobie go widzieć odparł Edward z zupełną stałością, oddając list Wernerowi do zapieczętowania i przesłania go w przeznaczone miejsce.

Werner przyrzekł to czemprędzej uczynić, a kiedy się zbliżał do drzwi, wstąpił właśnie czcigodny pasterz do więzienia: był to starzec z srebrzystym włosem i poważnej postawy.

Kiedy spojrzał w oko stojącemu z uległością młodzieńcowi, zawołał widocznie wzruszony, „wzrok taki nie zdradza zabójcy".

— Nie jestem zabójcą, rzekł z bolesnym uśmiechem Edward. Podejrzenie tylko mocno mnie przyciska; nie mam świadków na poparcie mej niewinności, tak więc niewinnie, przed światem jednak jako winowajca umierać muszę.

Zdjęty miłosierdziem siadł pleban przy bladym młodzieńcu, aby go wyspowiadać.

— Chętnie to wierzę, pocieszał nieszczęśliwego po skończonej spowiedzi ojciec duchowny,

opuszczam cię, aby doświadczyć, czy nic już dla ciebie uczynić nie mogę. Czcigodny pasterz odszedł. Edward znów był sam, słońce spuszczało się za góry, a on smutno spoglądał w tlejące jego światlo.

Po kilku godzinach powrócił znów pleban.

— Wszystko naprożno mój synu, wszystko się na ciebie sprzysięgło, musisz umierać. Ale lekkiem musi być takie konanie, gdyż ono przenosi ze zmiennych kolei ziemskich do wiecznej świętej spokojności. Człowiek się rodzi, aby umierał, a szczęśliwy ten, kto żyjąc myśli o śmierci. Życie, kochany Edwardzie, jest tylko próbą wnet jej dokonasz i już cię za nie piękna czeka nagroda. Dla tego nie wachaj się wcale, nie zadługo wyrwany z ziemskiej niedoli, będziesz chodził w kraju duchów wiecznie szczęśliwych!

Pasterz przestał mówić, i rzucał badawcze spojrzenia na smutnego Edwarda.

— Dla czegoś taki posępny synu? zawołał nareszcie chwytając go za rękę.

— Nad matką tylko ubolewam; zarobek bowiem siostry nie wystarczy na pielęgnowanie chorej, a zależeć od łaski innych jest zapewne bardzo przykro dla starej i chorej nadto kobiety, i dla tego to tylko śmierci się boję.

W oku księdza ukazała się łza, wzruszony podał rękę dzielnemu synowi, i mówił dalej z pociechą:

— O matkę twoją kochany Edwardzie, starać się będę, ile siły na to pozwolą, a i Marya nie będzie łaknąć. Edward padl przed bogobojnym kapłanem, i całował go wielokrotnie w ręce które doń wyciągał. Ani jednego słowa wdzięczności nie mógł wyrzec, zdarzenia bowiem tego dnia nadto go wzruszyły. — Teraz bądź zdrów, potrzebujesz spoczynku, a jutro znów cię odwiedzę, — to wymówiwszy położył ręce na głowę Edwarda i pocieszając go, dał mu błogosławieństwo, — a potem zaraz się oddalił.

Edward sam jeden pozostawszy, mówił do siebie po krótkiem milczeniu: „Więc śmierć moja będzie pomocą dla pozostałej matki i siostry; z największą chęcią chcę teraz umierać, kiedy wiem, że będą opatrzeni".

Ukląkł potem i podziękował Bogu za opatrzność nad nieszczęśliwymi i prosił o pomoc w swem położeniu; za chwilę zasnął, a igrający uśmiech na jego ustach świadczył o słodkich snach, jakie go otaczały.

ROZDZIAŁ IX.

Pan Ignacy.

— Kachana Matko, Edward do nas pisał, zawołała ucieszona Marya, której właśnie chłopiec list od brata wręczył. Z radosnym pospiechem otworzyła list, drżąca matka podniosła się i uważała pilnie na czytającą córkę, gdyż ciekawość o położeniu jej syna bardzo ją niepokoiła. Marya zaledwie przebiegła kilka wierszy, kiedy nagle upuszczając list, jakby paraliżem tknięta, blado i niemogąca słowa wymówić, przy łożu matki na kolana upadła.

Nagłe przelęknienie ożywiło na chwilę zwątlone siły matki. Wstała z łóżka, przybliżyła się do Maryi, a widząc, że ta powoli do zmysłów przychodzi, podniosła list z ziemi i czytała go z coraz więcej usłupiałem wzrokiem.

Skoro Marya list w ręku matki spostrzegła, zerwała się nagle, przeczuwając, że będzie teraz potrzebną. Matka zadrżała, pochyliła się i padła z ociężałością trupa w objęcia córki.

Przelękniona Marya, wszystkich sił użyć musiała, aby omdlałą matkę na łóżko położyć. Udało jej się nareszcie, potarła ręce i skronie omdlałej octem, i spostrzegła z radością ślady wracającego życia.

Matka zasnęła, a Marya siadła przy łóżu i zapomniała na chwilę o położeniu Edwarda, całą troskliwość chorej matce poświęcając.

— O nieba, wołała wylewając łzy, cóż ja mam począć, lekarz nie przyjdzie choćbym go i prosiła, a tak może matka nigdy się już nie przebudzi z słabości.

— Kochana Marto przyjdź do nas na chwilę! matka moja nagle zasłabła! zawołała przez okno na sąsiadkę, która nieraz już wspierała. Poczciwa staruszka pospieszyła się i weszła niedługo do izby.

— O mój Boże! zawołała przelękniona, widząc chorą z otwartemi usty, żółtą twarzą i krótkim oddechem, tu potrzeba pomocy.

Marya nie mogła z początku zebrać swych myśli, obiema rękami zakryła rozpaloną twarz i puściła wodze rozognionej imaginacyi. Nagle pojawił się stanowczy pomysł w jej duszy, poskoczyła ucieszona do zwierciadła, wyjęła z po za niego coprędzej zausznice, spojrzała na nie boleśnie, i ważyła je w drżącej ręce.

— One zapewne wystarczą na sprowadzenie lekarza z miasta i na kupienie lekarstwa dla cierpiącej matki.

— Nie raczylibyście, kochana Marto, zostać kilka godzin przy matce? mówiła prosząc sąsiadki, a jabym poszła do miasta poprosić lekarza.

— Jak najchętniej, kochana dziewczyno, odparła rozczulona staruszka, gdybym ja miała środki po temu, nie potrzebowałabyś sprzedawać twych kolczyków. Weźmij to, mówiła dalej dobroduszna stara, podczas kiedy z jej oka spływała łza po zmarszczonym policzku i włożyła dwuzłotówkę w ręce Maryi. Ze łzami radości dziękowała serdecznie kochana córka, ucałowała zimnym potem zlane ręce matki i pobiegła chyżym krokiem ku miastu. Strach i gorąca ku matce miłość dodawały jej skrzydeł.

Błyszczące wieże z miedzianemi kopułami już ją witały, a ona skłopotana coraz prędzej postępowała. Właśnie zbliżała się do najbliższych domków przed bramą, kiedy spostrzegła wzdłuż gościńca zgromadzone mnóstwo ludu. Niewiedząc co tu zaszło, pobiegła także wewnętrznem jakiemś wiedziona przeczuciem w miejsce, zkąd się do niej odgłos młota przedzierał.

W oka mgnieniu zbliżyła się ku natłokowi. Cieśle krzątali się nad wystawieniem czegoś, a nieświadoma Marya zapytała jednego z widzów, co by tu wystawiali.

— Wystawiają rusztowanie, piękna dziewczynko, dla zabójcy, który ma być jutro straconym. Cóż ci się stało, zawołał zapytany i chwycił w tej chwili omdlałą w swe objęcia.

Tłum ludzi obstąpił dziewczynę, która otworzywszy oczy jakby we śnie w około spozierała. Jeden rzut oka jednak w stronę, w której się wznosiło rusztowanie, wszystko jej wyjaśnił, podziękowawszy za wyświadczoną przysługę, pobiegła ku bramie miasta.

Cisnęło tu się wiele ludzi w poboczną uliczkę.

— Cóż to takiego zaszło, kochani ludzie, zapytała Marya, której się wszystko wielenaczącem zdawało, dlaczegoż tak gwałtownie ciśniecie się w ciemną ulicę?

— Można tam widzieć zabójcę, jutro będzie straconym, odpowiedział jeden z przechodzących.

— Gdzie? zapytała Marya prawie bez tchu.

— Tam w tym czarnym budynku na drugim piętrze po lewej ręce, jest jego więzienie, postępujcie tylko za ciekawemi a nie możecie do niego zbłądzić. Jest to piękny młodzieniec, będzie wam go żal, dziewczyno.

Nie czekając ostatnich słów, pobiegła Marya czemprędzej do wskazanego sobie domu. Posępnie wyglądał nie jeden uwięziony z za żelaznych krat swego okna, bo wielu tu takich siedziało, którzy nie mieli nigdy tych murów opuścić, chyba tylko, aby byli przytomni igrzysku jakie na jutro dla Edwarda zgotowano.

Marya przedarła się przez natłok ludzi, którzy się nieustannie przechodzili, gdy już stanęła u góry, spostrzegła wielu cisnących się do małego okienka.

I ona długo się tłoczyła, ale napróżno; nie mogła się bowiem oprzeć licznymu natłokowi mężczyzn. Długo stała w niewypowiedzianym strachu, nagle ujrzała otwór, prędko się przez niego wcisnęła, podniosła się na palce i spostrzegła przez okienko postać swego brata siedzącego obok księdza na ławie.

— Edwardzie! Edwardzie! wołała padając w progu. Kilku otaczających, podniosło biedaczkę, ale ona nie poruszyła się wcale, gdyż wielkie omdlenie owładnęło jej zmysły. Drzwi więzienia otworzyły się, Edward bowiem poznał głos swej siostry, i prosił księdza, aby jej otworzył.

— Maryo! zawołał blady więzień, odbierając omdlałą z rąk otaczających go; Maryo nie umieraj! wołał głosem wskroś przejmującym. Cóż matka pocznie, jeżeli i ciebie ciężka boleść na łożu powali!

Na to podniosła Marya oczy jakby czarodziejską ożywiona siłą, ale zaledwie ujrzała blade lica brata, w nieukojonym żalu trzymając go w swych objęciach, przy jego piersi gorzko płakać poczęła.

Widok ten wzruszył głęboko przytomnych, drzwi się znów zawarły, i nic nie przerywało milczenia, jak tylko głośny jęk i żałosna skar-

ga Maryi, która rozpuściła wodze nieporównanej boleści. Mocno rozczulony starzec spoglądał na dzieci nad sobą ubolewające.

Jestem niewinnym, pocieszał ją Edward, nie ubolewaj tak Maryo, na tamtym świecie wszyscy się znowu ujrzymy, a tam rozłączenie już nas strachu nabawiać nie będzie.

— Dla czegoż cię zabijają, kiedy jesteś niewinnym? utyskiwała Marya, nie mogą cię zabić, ja na to nie pozwolę, a gdy cię koniecznie zabić będą chcieli, to ja się uwieszę u twojej szyi, aby i mnie cios śmiertelny ugodził.

— Dobre dziecię, rzekł brat całując ją w łzawe oczy, cóż się stanie z chorą matką. Te słowa utkwiły w jej sercu; starała się odzyskać przytomność. Tu brat na śmierć skazany — tam cierpiąca matka — cóż miala począć?

— Ach bracie! westchnęła pokonana niepochamowaną boleścią, pozwól nam wszystkim z tobą umierać, bo ja jako też i matka ledwie śmierć twą przeżyjemy. Wstaw się za nami w krainie wieczności u Pana Boga, aby i nas wyzwolić raczył z tego padołu cierpień!

— Jak się Panu Bogu podoba, pocieszał pleban, nie trać nadziei biedna dziewczyno, i pielęgnuj cierpiącą matkę; to jest najpierwszą i najświętszą twoją powinnością. Zazdrość bratu, gdyż on piękną umiera śmiercią.

Przed drzwiami więzienia stał wysmukły młodzieniec; jego ubiór jako i szlachetna postawa świadczyły o dobrem jego wychowaniu. Ocierał łzę z oka, podczas kiedy lica jego mocno się zarumieniły. Brat z siostrą raz się jeszcze uścisnęli. Marya żegnała brata po raz ostatni w tym świecie serdecznym pocałunkiem, pomodliła się i wyszła otrzymawszy błogosławieństwo czcigodnego plebana. Wystąpiła za próg, i zeszła skłopotana trzymając się poręczy. Młodzieniec widocznie wzruszony postępował za nią w niejakiej odległości. W tem stanęła Marya przed sklepem złotnika, sięgnęła drżącą ręką do kieszeni w fartuszku, wyjęła kolczyki, pocałowała je, (były one pamiątką po zmarłym ojcu) i wstąpiła do sklepu. Młodzieniec uważał dokładnie wszystkie jej poruszenia, i przystąpił (jakby sobie chciał coś wybrać), do okien wystawnych złotnika, za któremi w subtelnych pudełkach drogie i szczerozłote zawieszone były klejnoty. Ztąd było dobrze widać, co się wewnątrz działo.

Drżącą ręką podała właścicielowi sklepu drogie dla niej kolczyki, ten je obejrzał, a przekonawszy się o prawdziwości złota, położył na wagę. Pomówili kilka słów z sobą, których za oknem stojący młodzieniec dosłyszeć nie mógł, potem kiwnęła głową zapłakana Marya.

Złotnik wydobył z szafy nieco srebrnych pieniędzy, przeliczył je na stole, a Marya zgarnąwszy je, w milczeniu się oddaliła. Zaledwie Marya sklep opuściła, nieznajomy natychmiast się do niego wcisnął pytając złotnika za jaką by cenę kolczyki od dziewczyny kupił.

— Za trzy talary panie, odpowiedział zapytany z grzecznością. Co prędzej wydobył nieznajomy napełnioną sakiewkę z kieszeni, rzucił trzy sztuki złota na stół marmurowy, i prosił o kolczyki, które mu zadziwiony złotnik z największą uprzejmością wręczył. Potem oddalił się młodzieniec schowawszy kolczyki. Oko jego było bystre i dla tego wnet Maryę w natłoku wzrokiem wyśledził. Postępował za nią zwolna w niejakiem oddaleniu, ją tylko mając na oku, nieraz przechodzących potrącał.

— Gdzież tu mieszka pan doktor, zapytała Marya podeszłej już w wieku kobiety; lecz nim ta odpowiedzieć zdołała, przystąpił nieznajomy do Maryi, pokłonił się uprzejmie, i podjął się z niewymuszoną grzecznością wskazać jej mieszkanie lekarza. Wstydliwa Marya spłonęła rumieńcem, kiedy spojrzała w piękną męzką twarz młodzieńca. Zmięszana spoglądała na niego, nie mogąc ani słowa wymówić. Chwila ta zapowiadała stanowczo przyszły los spowinowaconych i podobnych do siebie dusz. Marya szła przejęta wdzięcznością za uprzejmym towarzyszem, który przybywszy do pierwszej oberży, prosił ją, aby raczyła wstąpić. Weszła z wachaniem się. Służący wyszedł naprzeciw młodzieńcowi, a gdy mu ten rozkazał, aby zaraz zaprzągano, oddalił się z pospiechem. Pan Ignacy, gdyż tak go odtąd nazywać będziemy, otworzył drzwi, Marya weszła z obawą i drzwi znów się zawarły.

— Proszę panią siedzieć, rzekł z serdecznością pan Ignacy, biorąc ją za rękę, nie obawiaj się pani niczego, umiem ja cenić cnotę uczciwej dziewczyny.

Marya spojrzała mu w oczy i siadła uspokojona przy nim na sofie. Pan Ignacy wydobył pugilares, otworzył go, wyjął z niego kolczyki i wręczył je Maryi. Marya przelękniona chcia-

ła coś mówić, ale nie mogła; siedziała osłupiona i zostawiła mimowolnie drżącą swą rękę w dłoni młodzieńca.

Pan Ignacy był to człowiek światły, po długiej podróży wrócił do ojczyzny i zakupił sobie posiadłość w jednej z najpiękniejszych okolic. Rodzice jego dawno już spoczywali w grobie przodków, a on był w dwudziestym piątym roku życia swego, nieograniczonym panem swej woli, o ile prawa krajowe na to pozwalały.

Widok Maryi zrobił na nim głębokie wrażenie, kiedy przy niej siedział i kiedy spojrzał w anielskie oko dziewicy, zląkł się przemocy uczuć, których dotąd nie znał.

— Dla czegoś pani taka niespokojna, zapytał łagodnie pan Ignacy siedzącej obok Maryi, przecież ja wiem, żeś pani dla matki tylko klejnoty sprzedała; odbierz je pani z mej ręki, jak i zapewnienie mego szacunku dla poświęcającej się cnoty tak pobożnej i tak czule kochającej córki jak pani. Oto właśnie zaprzężono i, jeżeli pani pozwolisz, będę jej towarzyszył z moim lekarzem do chorej jej matki. Jeźli pomoc ludzka może być skuteczną, zręczność mego lekarza uratuje z pewnością natenczas życie chorej, o którą pani jesteś niespokojną. Moja pani, szanuję ja to uczucie, nie powściągaj pani łez swoich, często albowiem lżej bywa skołatanemu sercu, jeżeli jaka istota cierpienia te podziela.

Ostatnie wymawiając słowa, ścisnął pan Ignacy silniej rękę Maryi i pocałował ją z gorącem uczuciem w czoło. Jakieś przeczucie przenikło jej duszę; już ona nie była panią swego serca.

— Od niejakiego czasu należy także do mnie wioska nad jeziorem Vierwaldstaedt, gdzie matka pani mieszka, i bądź pani przekonaną, dodał stanowczo pan Ignacy, że rzeczy inaczej by teraz stały, gdybym był tylko choć najmniejszą otrzymał wiadomość o położeniu pani i jej matki. Co czas zawinił, to będę się starał wedle sił naprawić, widziałem panią w więzieniu brata, a boleść pani wzruszyła głęboko mą duszę. Dla Edwarda nie mogę niestety nic więcej uczynić, jak żałować go tylko. Pani zaś widzisz we mnie człowieka, któremu los jej nie jest wcale obojętnym, i który by się cieszył, gdybyś mu pani przy bliższem poznaniu się miano przyjaciela nadać raczyła.

Ostatnie słowa, którym towarzyszyły czułe i pełne zaufania spojrzenia, wzruszyły silnie Maryą, spojrzenie pełne wdzięczności, w którem się czysta jej dusza odbijała, było wszystkiem, czem mogła panu Ignacemu na teraz odpowiedzieć.

W tem wszedł lekarz. Przepraszając, udał się z nim pan Ignacy do okna i kiedy z sobą rozmawiali spoglądał lekarz z radosnym uśmiechem na Maryę, ściskając czule rękę pana Ignacego. Po wspólnem przywitaniu się pocieszał doktor Maryę z zapewnieniem, że wszystkich sił użyje, aby jej kochaną matkę ocalić.

Służący doniósł właśnie, że już zaprzężono, poczem bez zwłoki wszyscy izbę opuścili. Mimo wzbraniania się Maryi, najprzód ją pan Ignacy do pojazdu wsadził; sam wszedł na ostatku i zabrał miejsce z lekarzem na przeciwko dziewczyny.

— Jak będziesz dojeżdżał do rusztowania, które oto tam budują, zatnij nagle konie, szepnął pan Ignacy w ucho woźnicy wychylając się z pojazdu. Sługa zrozumiawszy go, kiwnął głową i szybko wyjechali za bramę. Nagle puściły się konie cwałem, Marya się przelękła, ale ją lekarz w krótce uspokoił. Nic wcale nie przeczuwała, rusztowanie już było za nimi, a lotem ptaka toczył się pojazd ku wiosce.

ROZDZIAŁ X.

Pochód na miejsce stracenia.

Połowę nocy spędził Edward niezmrużywszy oka, dopiero znużony tak długą bezsennością zapominając o wszystkiem, rzucił się na łoże. Już dosyć późno dzwony miasta Lucern śpiącego zbudziły. Wiatr dął nieustannie, a piorunami brzmienne chmury przesuwały się nad szczytami gór. Południowe wiatry pędziły na wszyskie strony mielący się piasek, który w gęstych tumanach w doliny zapadał i wszystko dokoła niby grubą pokrywał tkanką. Starzy i młodzi z sąsiednich wiosek przybywali do miasta, aby być świadkami krwawej sceny.

Wzmocniony siłą wiary i z myślą o śmierci zupełnie oswojony, wyglądał Edward ze stałością chwili, w której go wezwią do ostatniego

w świecie kroku. Rzucił się na kolana, a gorącą zajęty modlitwą nie spostrzegł wchodzącego plebana, który po skończonej Edwarda modlitwie ręce na głowie jego położył i pobłogosławiwszy go, do czułej swej piersi przycisnął.

— Cieszy mnie synu, że cię zastaję przy modlitwie, twarz twoja jest wypogodzoną, i ma zupełny wyraz przygotowanego na śmierć niewinną. Bądź silny wiarą, a bez trudności rozstaniesz się z tym światem, którego drogi ciernio-we tak młodo już poznałeś. Przywiedź sobie całe życie na pamięć, i poznasz że cierpka boleść idzie krok w krok za przemijającą radością. I tak bogacz podpada ciągłej zmianie losu lubo łatwo zapomina, że z prochu powstał i że znów powróci w zimne łono ziemi. Niejeden nieszczęśliwy bogacz zajęty przemijającemi namiętnościami, wszystkich używa rozkoszy, aby swe sumienie zagłuszyć, a gdy się wzbudzi z czczego marzenia, ujrzy się w ramionach okropnej nocy grobowej. Ostatnie zaufanie ma jeszcze do lekarza, ten to ma zwiędłemu powrócić roztrwoniony szpik i wzniecić na nowo gasnącą iskrę życia w konającej piersi. Ale tu kończy się sztuka, a wszechmocny przedtem w swojem zaślepieniu, rozpacza teraz na potrząsanie głowy jednego człowieka. Cóż mu wtenczas pomogą pieniądze? cóż jego pochlebcy? sam jeden stoi niepocieszony w marzeniu bez nadziei i dręczy się myślami, czy jest jaka przyszłość, albo czy też na drugim świecie jest tak pusto jak w śmiertelnej jego piersi! W okropnej niepewności wyziewa nareszcie ducha nie wzniesionego nigdy nad czcze uciechy i nie rzuciwszy nigdy wzroku na cień przyszłości. I tak go spuszczą z okazałością do zimnego grobu, gdzie wieczna panuje równość, której za życia zawsze się wyrzekał. Taka śmierć musi być okropną. Ksiądz pleban siadł przy Edwardzie i zwracał jego uwagę na cierpienia Chrystusa, który niewinnie dźwigał ciężki krzyż na górę Golgata i na nim ducha wyzionął.

Te napomnienia nie były już potrzebne, albowiem Edward już się był porachował z tym światem, był on chrześcianinem; o los matki był spokojnym i nie bał się śmierci, którą miał ponieść niewinnie. Godzina śmierci tymczasem coraz więcej się zbliżała. Krzyk i głuchy szmer ciekawego tłumu, który od chwili do chwili coraz więcej się powiększał, wdarł się aż do jego więzienia. Zimny dreszcz przebiegł jego członki.

— Nie opuszczaj mnie, kochany dobrodzieju! zawołał tuląc się do księdza, przeraźliwy ten szmer sprawia w mej piersi boleść i jakby mieczem me serce przeszywa.

- - Oddal od siebie ten strach, mój synu! rzekł uroczyście ksiądz pleban. Ceń się szczęśliwym, że ci wolno umierać niewinnie i przejść po krótkiem cierpieniu do Boga, do wiecznej szczęśliwości.

Czule uścisnął Edward rękę poczciwemu pasterzowi który wyczytał z pociechą z spokojnego i wypogodzonego oblicza, że Edward bez wachania się wstąpi na rusztowanie.

W gęstych tłumach tłoczyło się pospólstwo za bramę i cisnęło się coraz bardziej około rusztowania. „Chodźże też z nami panie młynarzu!" zawołał jeden z ciekawych na rudego młynarza, który blady jak śmierć w cwał z miasta ku wiosce pędził, nie zważał on na wołanie, bardziej jeszcze zaciął konie i wnet był za miastem.

Godzina oczekiwania wybiła. W więzieniu wszczął się żwawy ruch; z trzaskiem zamykano i otwierano drzwi, dozórcy uwijali się po korytarzach, a żandarmi wstrzymywali natłok ludu. Drzwi do więzienia Edwarda otworzyły się także, urzędnicy, żołnierze i ciekawi cisnęli się do niego, a po poprzedzających formułach sądowych, przeczytano mu raz jeszcze wyrok na niego zapadły. Z spokojnym uśmiechem słuchał wyroku śmierci, podpisał go spokojnem pociągnięciem pióra i pewnym krokiem postępował za urzędnikami. Na dole czekał na niego wóz czarny, zaprzężony parą karych koni, otoczony żandarmami. Tłumy ciekawych coraz bardziej się ścieśniały, a gdy Edward wystąpił z ciemnego gmachu w towarzystwie srebrnowłosego kapłana, wydobyło się nie jedno westchnienie z pośród zgromadzonego ludu. Edward siadł do karety, przy nim zajął miejsce drżący pasterz i tak powoli postępował orszak żałobny ku bramie, przy odgłosie tak nazwanego dzwonka śmiertelnego. „Bądź zdrów!" zawołał Werner o mur wsparty z niewymowną boleścią do odjeżdżającego Edwarda, a wyciągając za nim ręce gorzko począł płakać. Gdy młodzieniec zwrócił głowę ku niemu, nie mógł się poczciwy Werner już dłużej wstrzymać. Olbrzymią siłą torował sobie drogę do młodego przyjaciela i zawołał silnym głosem: „stójcie okrutnicy! stójcie! nie traćcie niewinnego młodzieńca, aby was nie spotkał gniew przedwiecznego Boga!"

Przemocą tylko oddalono Wernera, a szmer współczucia rozległ się daleko. Edward rozmawiał ciągle z księdzem plebanem, który się sam widocznie silił, aby ukryć przed nim wzmagającą się boleść.

Na rusztowaniu stał już kat z zagiętymi rękawami i lśkniącym się mieczem. Bojaźliwie poglądając ku miastu, oczekiwał niecierpliwie orszaku, który się zwolna na miejsce przeznaczenia przybliżał. U stóp rusztowania stała trumna z prostych zbita desek, na której wieku czarny krzyż był wymalowany. Jeden z oprawców trzymał czarną przepaskę, drugi zaś posypywał deski rusztowania popiołem.

Pojazd zatrzymał się u wschodów rusztowania, a głuche milczenie rozlało się do koła, tak iż każdy czuł bicie serca swego pobocznika. Edward wysiadł najpierwszy z pojazdu i pomógł wspierającemu się nań księdzu plebanowi wysieść. Zaprowadzono go do izdebki pod rusztowaniem zbudowanej, gdzie mu brudny oprawca sploty ciemnych włosów nożycami ustrzygł. Drzwi izdebki otworzyły się, a z niej wyszedł Edward z wypogodzoną twarzą wsparty ramieniem księdza i szedł pewnym krokiem na rusztowanie. Przez tłumy czekających widzów cisnęła się piękna, blada dziewczyna z rozpuszczonymi włosami, z twarzą pełną rozpaczy. „Edwardzie!" wołała przedzierając się w koło wojskiem otoczone, a młodzieniec znający dobrze ten głos, zszedł prędko z otwartemi ramionami ze wschodów, i przycisnął drżąc ze strachu i zadowolnienia tak drogą mu siostrę do zburzonej piersi. „Maryo!" — „Bracie!" — było to wszystko co było można posłyszeć, a pierś siostry spoczywała w objęciach drogiego jej brata. Głośny płacz dał się słyszeć w około: „przebaczenia! przebaczenia!" wołano zewsząd. Sędzia stał zatrwożony, żandarmi i żołnierze tylko wstrzymywali silny natłok rozdraźnionego ludu. Nareszcie przyszła Marya do siebie, włożyła wieniec z białych róż na skronie ukochanego brata, i prosiła sędziego spoglądającego z rozrzewnieniem na nią, aby jej było wolno wstąpić razem z Edwardem na rusztowanie. Po krótkiem wachaniu się, pozwolił nareszcie na to sędzia, który na twarzach zgromadzonych widzów złowrogą wyczytał niechęć. Znów nastąpiło grobowe milczenie. Lecz gdy Edward ująwszy siostrę za rękę, powtórnie na rusztowanie wstąpił, gdy mu bohaterska dziewica czarną przepaską oczy zawiązała i gdy nareszcie tonąc w boleści ośmdziesięcioletni pleban rękami twarz swoją zasłaniał, wtenczas począł krzyczeć i złorzeczyć tłum zgromadzony. Kamienie padały na żołnierzy, a niebo coraz się bardziej zaciemniało, grożąc niejako mającej nastąpić krwawej scenie.

Na ten rozruch obudził się Edward, spostrzegłszy ogólne zamieszanie, powstał zebrawszy siły i zawołał donośnym głosem: „Wstrzymajcie się szaleńcy! cóż chcecie czynić?"

Jakby olśnieni spoglądali żołnierze i lud na pięknego młodzieńca.

— Czy chcecie stawać w obronie zabójcy? zawołał jeszcze głośniej, przewidując nadto dobrze, iżby do ogólnej było przyszło rzezi, czemu aby zapobiedz, wyrzekł słowa nie pochodzące z serca.

Ksiądz pleban zrozumiał szlachetnego młodzieńca i zdziwiony uścisnął mu rękę. Marya zaś ciągle wołała: „Nie wierzcie mu, on jest niewinnym!" wołanie jednak Edwarda było skuteczniejsze, słowa Maryi nie przedarły się przez dziką wrzawę i powoli wracała dawna spokojność. Edward usiadł powtórnie na stołku. Siostra uklękła przy nim, i ukrywała rozpaloną twarz swoją w jego złożonych na łonie rękach, w których trzymał wyobrażenie Zbawiciela. Kat wzniósł teraz miecz, twarz miał śmiertelnie bladą, pierś oddychała jakby ogromnym przywalona ciężarem i spuścił miecz bez zadania razu śmiertelnego. Cóż takiego mogłoby wyćwiczonego zatrwożyć kata? z siłą rozpaczającego wzniósł na nowo miecz do góry, przeciął powietrze, zanim atoli dosięgnął karku Edwarda, padł jakby piorunem ugodzony na ziemię.

— Cóż to? zawołał zadziwiony sędzia i pobiegł zsiadłszy z konia w towarzystwie kilku żołnierzy na rusztowanie, aby otrzeźwić omdlałego kata. Edward zdjął znowu przepaskę z ócz i spostrzegł człowieka mającego mu zadać raz śmiertelny, leżącego na ziemi. Kat przyszedł zwolna do siebie, podniósł ociężałą głowę i spojrzał przenikliwym wzrokiem w około, pasując się sam z sobą; przebaczenia! zawołał nakoniec głośno, i przysunął się na kolanach do sędziego.

— Cóż ci się stało? mówże! zawołał przerażony sędzia.

— Tam ten, odparł kat wskazując drżącą ręką na Edwarda, jest niewinnym. „Niewinnym!" zapytał sędzia z podziwieniem; „niewin-

nym!" zawołali żołnierze, „niewinnym!" krzyczało pospólstwo radosnie. „Tak niewinnym! powtórzył kat drżącym głosem. Rudy młynarz był sprawcą tego czynu, jest on hersztem bandy rabusiów, którzy od lat kilku tę okolicę niepokoją; a ja — należę do nich." Wszyscy stali w milczeniu oczekując końca,

—Temu! coby odkrył rabusiów, mówił dalej kat przyrzeczono wielką nagrodę, choćby nawet do ich grona należał, może być pewnym przebaczenia i nie będzie karanym; o to tylko teraz proszę, wołał błagalnym głosem nawrócony zbrodniarz. Sędzia kazał go natychmiast uwięzić. Marya i ksiądz pleban ściskali nieszczęśliwego Edwarda, a tysiączne złorzeczenia miotane na rudego młynarza napełniały powietrze. Pomówiwszy kilka słów z żołnierzami, wysłał ich sędzia na pojmanie rozbójników; uwięziony kat podjął się im towarzyszyć utrzymując, że zna wszystkie kryjówki w młynie.

Edwarda wsadzono do pojazdu sędziego, a ksiądz pleban i Marya zajęli przy nim miejsce, i przy tysiącznych błogosławieństwach wracali do miasta, gdzie aż do rozwiązania zawikłanego nieporozumienia miał Edward w pomieszkaniu sędziego pozostać.

Inny orszak złożony z żandarmów, policyantów, mieszczan i wieśniaków, poruszał się spiesznie ku wiosce, gdzie był młyn rudego młynarza.

(Dokończenie nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Żółtaczkę, leczy Czosnek, Kopytnik, Urzet i Jaskółcze ziele.

Zawrot głowy, leczy Lewanda, Macierzanka, a osobliwie leczy korzeń suchy przestępowy, który tylko za radą lekarza może być pod wagą dany.

OPISANIE LECZĄCYCH ROŚLIN,

gdzie i jak rosną i kwitną i jaką niemoc uzdrawiają, by takowe uznać, uzbierać i korzystać z nich można.

Agaryk, Agaricus, bzowy, jest to grzyb błoniasty i cienki, wyrosły na starem drzewie bzowem, służy na wrzód w gardle i inne choroby.

Anyż polny, Anisum, podobny jest pasternakowi dzikiemu, lecz trochę mniejszy; a nasienie ma od prawego anyżu nieco miejsze i dłuższe, korzeń gorzkawy. Rośnie po łąkach, dojrzewa w sierpniu. Uśmierza ból żołądka i kolkę.

Bernadynek, Carduibenedicti, ziele gorzkie, odwar z niego służy na febry i różne choroby; lecz musi być bardzo młodo zbierane, w cieniu suszone.

Barszcz ziele, Brune ursine, ma liście kosmate wyrzynane głęboko, którego zażywając w zupie, uwalnia od kołtunów.

Barwinek, Vinca pervinca, niewiastom do poczęcia pomaga.

Bazylia, Basilium, ziele ogrodowe, które zapachem swoim ożywia w młodości; a plaster z nasienia zrobiony pomaga na ból głowy.

Betonika, ziele ma listki pachnące, szerokie, ząbkowate, trochę kosmate; rośnie przy lasach na miejscach trawiastych, lub przy cierniach. Zbierać ją potrzeba w Maju, dopóki są liście młode i suszyć w cieniu.

Ta która kwitnie czerwono, najlepsza jest. Służy na kaszel, na ból głowy. Słuch przytępiony przywraca, pijąc ją z cukrem, jak herbatę.

Bez pospolity, z którego użycie suszonych jagód lub powideł, sprawia żądane poty. Kwiat jego suszony uskromnia puchlinę lub biegunkę: także służy na duszność kaszel, katar i affekcye maciczne. Młode liście lub młoda kora uskrobana służy na różą i ból zębów.

Brzoza drzewo, mające gałęzie nie zwieszające się, pączki jej przed rozwinięciem się w liście o tyle są wilgotne, że się da z nich sok wycisnąć na krople które są lekarstwem na oczy. A w liściach suszonych, Cytryny i Pomarańcze dobrze się konserwują.

Bylica ziele, Artemisia, rosnąca po ogrodach, jest bardzo pomocną na defekta maciczne; płód i łożysko ułatwią

(Dalszy ciąg nastąpi.)